Rok III. Kraków-Podgórze, poniedziałek 6 listopada 1905. Nr 299.

NOWINY DLA WSZYSTKICH

Cena numeru w poniedziałek i dni poświąteczne **2 ct. (4 hal.)**

PRENUMERATA w Krakowie i Podgórzu miesięcznie K. 1·40 z odnoszeniem do domu dopłaca się 20 halerzy. **Na prowincyi miesięcznie K. 1·50** Prenumerata za granicą: miesięcznie 1 mk. 60 fen., 2 franki 00 ct.

OGŁOSZENIA za wiersz petitu 16 hal., za każdy następny raz 12 hal., drobne ogłoszenia po 4 hal. od wyrazu (minimum 50 hal.). Nadesłane za wiersz petitowy 50 hal., spody na każdej stronie po 2 kor. Inseraty prowadzi w swoim zarządzie p. **Maryan Hupczyc** (administr. „Nowin", Zacisze 7), od 9—1 w poł. i od 2—5 popoł.

Na Lwów skład i ekspedycya Agencya Sokołowskiego — Pasaż Hausmana 2. —

REDAKCYA I ADMINISTRACYA: ul. Zacisze 7 (obok gmachu starostwa) Telefon Nr. 512.

Redaktor naczelny: LUDWIK SZCZEPAŃSKI.

Wiadomości ustnie, telefonicznie i listownie przyjmuje redakcya — (Telefon 512) — od godz. 7 rano do godz. 8 wieczorem. — Rękopisów nie zwraca się.

„Nowiny" wychodzą codziennie. — Cena numeru 3 centy = 6 halerzy. — W poniedziałki i dni poświąteczne 2 centy.

Krwawe demonstracye w Krakowie.

Niedziela była w Wiednin, w Pradze i w Krakowie widownią burzliwych manifestacyi socyalistycznych na rzecz reformy wyborczej.

W Wiedniu przebieg tychże był spokojny, policya trzymała się tym razem zdaleka.

Natomiast w Pradze i w Krakowie przyszło do poważnych ekscesów. W Krakowie **tłum poranił ciężko komisarza policyi**, a lżej kilku innych funkcyonaryuszy.

Socyalna demonstracya w Krakowie.

W ujeżdżalni.

W niedzielę o godz. 10 rano odbyło się w ujeżdżalni przy ulicy Rajskiej, wielkie zgromadzenie socyalistyczne, w którem wzięło udział kilka tysięcy ludzi. Po zagajeniu przez p. T. Bobrowskiego, wybrano przewodniczącym Zygmunta Klemensiewicza. Przemawiali: dr Kapellner, Haecker, Misiołek, Klemensiewicz i poseł Daszyński. Wszyscy mówcy omawiali ostatnie wypadki w Rosyi i Królestwie Polskiem, gdzie krew i bohaterstwo ludu, zdobyły wreszcie konstytucyę i wolność; dalej wykazywali, że obecne prawo wyborcze krzywdzi szerokie masy ludu, który też musi żądać równego, bezpośredniego, tajnego prawa wyborczego do parlamentu i sejmu. Jeśli nam tego prawa nie dadzą dobrowolnie — mówił poseł Daszyński — to go sobie siłą weźmiemy. Gdy wszelkie nasze usiłowania nie doprowadzą do niczego i wyczerpie się nasza cierpliwość, żywiołowego gniewu ludu nic nie wstrzyma, a od walki legalnej przejdziemy do gwałtu. Mowę, która była gorąco oklaskiwana, zakończył mowca rezolucyą:

Zgromadzeni przesyłają wszystkim bojownikom za wolność Polski i Rosyi pozdrowienie. Padają kordony, co dzieliły dotąd serca nasze, upadną też i te, które podła przemoc nakreśliła. Zgromadzeni uznają, że i w granicach Austryi czeka polski lud rewolucyjne zadanie, walka o równe prawo wyborcze do parlamentu i sejmu. Zgromadzeni ślubują, w walce tej nie cofnąć się przed żadnemi ofiarami i gotować się do strejku masowego, dopóki walka nie skończy się zwycięsko dla ludu". Rezolucyę uchwalono jednomyślnie.

Pochód.

O 12-stej począł się kilkutysięczny tłum wysypywać z ujeżdżalni i ustawiać do pochodu w ul Rajskiej i Karmelickiej. W jednej chwili rozwinięło duży sztandar czerwony, z napisem: „P. P. S. D.", zaś kilkuset uczestników zatknęło małe czerwone chorągiewki na laski i parasole. Niesiono też ogromną tablicę czerwoną, z napisem: Żądamy równego, tajnego, bezpośredniego prawa wyborczego".

Policyanci stali z boku i nie przeszkadzali pochodowi.

Pobicie komisarzy policyi.

Tylko komisarz policyi dr Tomasik, w myśl instrukcyi służbowej ze strony dyrekcyi, wszedł w tłum i wezwał do usunięcia sztandaru. Wtedy rzucono się na niego z *laskami, toporkami i bokserami* i poczęto go bić po piersiach, plecach i głowie. **Jeden z napastników przebił drewl Tomasikowi udo prawe** sztyletem lub nożem, a inny ugodził go jakimś żelaznym przedmiotem, prawdopodobnie **toporkiem żelaznym w głowę** i zadał mu ciężką ranę, tak że dr Tomasik zalany krwią zemdlał i upadł na ziemię. **Jeszcze leżącego bito niemiłosiernie.**

Komisarz dr Styczeń.

W pobliżu stojący kom. policyi dr Styczeń rzucił się mu z pomocą, a wtedy jego zaatakowano laskami i kijami. przyczem **odniósł dwie rany na głowie**. Dr Styczeń wyciągnął wtedy szablę i broniąc się, płazem uderzył kilku napastników. Tłum ruszył dalej. Dra Tomasika podniesiono nieprzytomnego z ziemi i przeniesiono do pobliskiej apteki p. Klemensiewiczowej; tu zaopatrzył mu rany lekarz dr Schwarz, a następnie przewieziono go do mieszkania przy ul. Lubicz. Dra Stycznia opatrzyło Pogotowie ratunkowe. Również poturbowano komisarza policyi p. Sokołowskiego, a kilku agentów pobito.

Na Małym Rynku.

Sztandar chwilowo w zamęcie zwinięty, wypłynął na nowo ponad głowy tłumu, który ruszył plantami, przez plac Szczepański i Rynek główny, ku Małemu rynkowi. — Tutaj przemawiało jeszcze kilku mowców, a w końcu poseł Daszyński, prosząc zebranych, aby przygotowali się w razie potrzeby na strejk generalny, zakończył wezwaniem do rozejścia się i okrzykiem na cześć polskiej partyi socyalistycznej.

* * *

Sprawcy napadu na kom. Tomasika uszli w tłumie nie schwytani — i policya nie ma żadnych poszlak. Czapkę komisarza, zwalaną i zdeptaną podjął któryś z demonstrantów i niósł wśród kpin aż na plac Szczepański, gdzie powieszono ją na latarni

Na Rynku wśród części zebranego tłumu powstała chwilowo panika, gdy ktoś krzyknął, że „wojsko idzie". Szedł tymczasem na odwach tylko patrol, złożony z czterech żołnierzy.

Opinia.

Ubolewania godne ekscesy podczas demonstracyi socyalistycznej spotkały się w mieście **z powszechnem potępieniem**. O ile poprzednim razem policya postępowała nietaktownie i sama dała powód do awantury, o tyle tym razem nie chciała zakłócać spokojnego przebiegu demonstracyi. Policyanci mieli polecenie trzymać się zdala.

I trzymano się też tak zdala że komisarz dr Tomasik mógł zostać ciężko poraniony. Zakaz niesienia sztandaru (tyle razy niesionego!) był zgoła niepotrzebny i nieumotywowany. Zarządzeniom władzy zbywało na przezorności i rozwadze, zarówno tym razem, jak i w ubiegłą niedzielę. Ale i w Wiedniu nie było inaczej...

Krwawe demonstracye w Pradze.

Telegramy „Nowin".

Praga. Miasto było wczoraj ponownie widownią demonstracyj. Przed południem zebrało się na Placu Wacława około 10 tysięcy osób, przeważnie socyalistów, do których przyłączyła się grupa narodowych socyalistów. W kilku miejscach zelżono policyę, a po wejściu na Prekopy, padło z tłumu kilka strzałów. Demonstranci wkrótce zapełnili Prekopy. Policyę obrzucono kamieniami, przyczem kilku policyantów odniosło znaczniejsze okaleczenia. Gdy z tłumu ponownie padły strzały, policya oddała kilka strzałów, poczem tłum się rozprószył, a wojsko opróżniło ulice i zamknęło dojścia do Prekopów. Równocześnie zarządzono zamknięcie domów. Tłum, rozproszony przez policyę i wojsko, w powrocie do przedmieść dopuścił się licznych ekscesów. Wybijano szyby w gmachach publicznych, obrzucono policyę kamieniami i zagrożono komisaryatowi policyi w Oleszowicach, dla ochrony którego zarekwirowano wojsko. Po południu ściągnięto asystencyę wojskową, ale gdy ekscesy dalej trwały, wyruszyło wojsko wieczorem ponownie. Wzniesiono barykadę, którą jednak wojsko i policya uprzątnęły. Wyrządzono też szkody w niemieckiem gimnazyum w Winohradach i w domu posła Kreicika w Oleszowicach. W ciągu dnia

dokonano licznych aresztowań. Przy aresztowanych znaleziono długie noże i ostre sztylety.

Praga. (10 wiecz.). W mieście panuje względny spokój, ale na przedmieściach tumulty trwają dalej. Wojsko, żandarmeryę i policyę ekscedenci obrzucają kamieniami i szklankami. Tłum, w jednem miejscu rozprószony, zbiera się zaraz w drugiem. Pod konia jednego z oficerów z asystencyi wojskowej miano rzucić ogień sztuczny. Koń zrzucił oficera, który doznał ciężkich obrażeń i został przewieziony do szpitala. W kilku miejscach potłuczono latarnie. Ciągle trwają aresztowania. Przy wielu uwięzionych znaleziono rewolwery z ostrymi ładunkami.

TELEGRAMY „NOWIN".

Z Królestwa Polskiego.

Z WARSZAWY.

Z Warszawy donoszą:

W sobotę prawie wszystkie dzienniki zamieściły wczoraj artykuły przeciw przewidywanym rozruchom antyżydowskim. Spokój panował zupełny.

Dziś w południe odbędzie się olbrzymi pochód z katedry wszystkich korporacyj i stowarzyszeń.

Dwa zdromadzenia socyalistyczne musiano wczoraj w Filharmonii przerwać, gdyż wskutek przezwisk wymierzonych przeciw narodowcom, powstał ogromny tumult. Prócz kilku rewolucyjnych uchwał postanowiono kontynuować strejk powszechny.

Wiec kolejarzy, w którym wzięło udział 10.000 osób, oświadczył się za dalszem trwaniem strejku.

Z powodu starć między stronnictwami narodowemi a socyalistami wzmaga się podniecenie.

Urzędnicy magistratu zastrejkowali, żądając zaprowadzenia polskiego języka jako urzędowego. Również strejkuje personal teatralny i operowy.

Warszawa. Pet. aj. tel. Wczoraj urządzono tu wielką polską manifestacyę narodową. Pochód wyszedł z katedry. Prowadziło go duchowieństwo katolickie i ewangelickie. Wzięło w nim udział przeszło 100.000 osób wszystkich stanów i stowarzyszeń. Porządek utrzymywali wzorowo studenci. Policyi nie było.

Petersburg. (P. a. t.) Jenerał gubernator Warszawy otrzymał zawiadomienie, iż pożądanem jest wypuszczenie na wolność zamkniętych z polecenia władz cywilnych za przekroczenia religijne w klasztorach duchownych i uczniów.

Łódź. Z polecenia tut. władz wypuszczono z więzień 49 więźniów. **Strejk trwa dalej.**

Z CARATU.

Odkładają manifestacye.

Petersburg. (P. a. t.) Rada związków robotniczych postanowiła, celem nie narażania życia ludności, projektowaną na niedzielę manifestacyę, odłożyć na inną stosowniejszą chwilę.

Rzezie w Tyflisie.

Tyflis. (Pet. aj. t.) Uczestników „patryotycznej" manifestacyi, („czarną sotnię") przeciągającej z portretem cara ulice Baku, opadło 20 uzbrojonych w karabiny marynarzy floty kaspijskiej, atoli wojsko, asystujące manifestacyi, rozbroiło tych marynarzy. Domy armeńczyków, z których strzelano do biorących w manifestacyi uddział Rosyan i Tatarów ostrzeliwano z dział. *(Jest to urzędowy telegram przyp. red).*

Petersburg. Kierownictwo ministerstwa spraw wewn. powierzono czasowo dotychczasowemu pomocnikowi ministra spraw wewn. Durnowo.

Duma miasta zajmowała się onegdaj cały dzień zarządzeniami, celem uniknięcia rozlewu krwi podczas zapowiedzianego na wczoraj pogrzebu ofiar. — Duma zwróciła się do hr. Wittego, który oświadczył, że pozwala na manifestacyę, ale zarządzenia w sprawie wojska nie leżą w obrębie jego władzy. Następnie postanowiła duma wydać odezwę do ludności i wysłała deputacyę do Trepowa z oświadczeniem, że celem uniknięcia rozlewu krwi należy pozwolić na manifestacyę i cofnąć wojsko z ulic. Trepow odpowiedział, że uwzględni życzenia dumy.

Pogromy żydów.

Berlin. Rosyjski korespondent „Russ. Korr." telegrafuje, że zewsząd nadchodzą wiadomości o ekscesach antysemickich. — Obecnie nadeszły podobne wiadomości z 40 miast, które dotąd tym ruchem nie były objęte. Rząd zachowuje się wobec tego ruchu zupełnie obojętnie, jeżeli go wręcz nie popiera.

Londyn. „Standard" donosi z Kijowa: Tłum opanował w zupełności miastem i przeciągał ulicami, zatrzymując wszystkich przechodniów, przyczem żydów bito.

Berlin. „Local Anz." donosi z Odessy: Do urzędu telegraficznego wrzucono bombę, przyczem zginęło 12 telegrafistów, a wielu odniosło ciężkie okaleczenia. Rozruchy antiżydowskie trwają w dalszym ciągu.

Powstanie w Finlandyi.

Petersburg. Car zgodził się wczoraj na prośbę w sprawie zwołania nadzwyczajnej sesyi sejmu finladzkiego na 20 grudnia celem rewizyi zasad ordynacyi wyborczej sejmu. Manifest z 15 lutego 1899 w sprawie wspólnego ustawodawstwa dla całego państwa, jak i wszystkie ustawy wydane po r. 1899 zostają zniesione.

Haparanda. Wczeraj przedpoł. telegrafowano do Tornea z Simo, stacyi odległej o 6 mil, że kilku napędzonych żandarmów usiłowało zerwać szyny kolejowe na południe od Simo. Z Tornea odszedł pociąg do Simo z 50 uzbrojonymi ludźmi celem przyaresztowania tych żandarmów.

RÓŻNE TELEGRAMY.

Zamknięcie uniwersytetu wiedeńskiego.

Wiedeń. Senat postanowił wskutek onegdajszych zajść uniwersytet zamknąć i aż do dalszego zarządzenia wstrzymać wykłady.

Koncert symfoniczny „Harmonii".

Sala „Sokoła" przedstawiała wczoraj widok niebywały. Na estradzie zasiadła liczna orkiestra, złożona ze stale zaangażowanych artystów i z artystów-amatorów. To orkiestra towarzystwa przyjaciół muzyki „Harmonii", która w maju r. b. dało się poznać na koncercie w teatrze, a obecnie wystąpiła z koncertem drugim. Trudno o słowa pochwały, bo wrażeniem dominującem jest podziw, a nawet zdumienie. Mamy znakomitego dyrektora w osobie p. Górskiego, wyborny zespół, wybornych amatorów — tylko pieniędzy nie ma — a gdy chodzi o marne poparcie ze strony publiczności — sala jest do połowy pustą. Nigdy żadna muzyczna instytucya nie utrzyma się, gdzie rozbrzmiewa mowa polska — bo nigdy i nigdzie w Polsce muzyka nie była i nie jest potrzebą — *„Lasciate ogni speranza"*.

Koncert wczorajszy dał Euryantę Webera na rozegranie się, poczem jako solista wystąpił p. Piszczek, flecista. Znakomita technika, czystość i równość tonu, zjednały mu tak huczne oklaski, że zmuszonym był koniec utworu koncertowego powtórzyć.

Siuta Rameau, staro francuskiego kompozytora wykonaną była z dokładnością i subtelnością, przynoszącą zaszczyt wykonawcom i dyrektorowi.

Numerem głównym programu była symfonia Mendelsohna, dedykowana królowej angielskiej. Dzieło to wykonała orkiestra znakomicie. Pan Górski okazał się dyrygentem pierwszorzędnym, pewnym siebie, znakomitym instruktorem, umiejącym podnieść zespół do jednolitej gry, ożywionej, pełnej nerwu i niepospolicie trafnego zrozumienia. Oklaski, jakie otrzymywał, były dowodem, jak słuchacze te zalety ocenić umieli. *Poraj.*

Z TEATRU.

„Ijola", dramat w 4 aktach z czasów średniowiecza Jerzego Żuławskiego.

Średniowieczna „szopka", ale *c'est du theatre.* Role wyborne, efektów „średniowiecznych" moc: czegóż więcej chcieć? Niejednego może nawet wzruszy „klątwa" ciążąca nad lunatyczną Maruną-Ijolą!

Przedstawienie tej sztuki przynosi znowu prawdziwy zaszczyt dyrekcyi. Artyści uczynili wszystko, aby postaciom „średniowiecznym" nadać życie.

Świetne i wysoce interesujące były kreacye pani Solskiej, która w tej roli może okazać cały swój wdzięk i umiejętność pozy, pani Słubickiej, pp. Solskiego, Sosnowskiego, Wiślańskiego. Na uwagę zasłużył młody artysta p. Osterwa; wyborny był p. Bończa jako mnich, wizyami zmysłowemi.

Obszerniejszą recenzyę, dla braku miejsca odkładamy na jutro.

Publiczność nie szczędziła wykonawcom oklasków i kwiatów. *ls.*

Co słychać w mieście?

Kraków, 2 listopada

Dziś w poniedziałek Feliksa i Leon. — Jutro we wtorek Amaranta i F. — Pojutrze we środę Sewera, Wikt.

Poniedziałek.

Teatr miejski. „Divette", pantomina, wystep p. Ireny Sironi. — „Wyrozumiały komisarz", kom. w 1 akcie A. Courteline'a.

Koncert Leona Slezaka w sali Sokoła.

Jubileusz Bratniej Pomocy kelnerów rozpoczął się wczoraj. Na dziś program jest następujący: o godzinie 11 przed południem uroczyste nabożeństwo w kościele N. P. Maryi, w którem uproszone cechy i bratnie instytucye wezmą udział ze sztandarami; o godz. 1 w południe bankiet w sali Hotelu Saskiego; po obiedzie wycieczka na Kopiec Kościuszki i zwiedzanie Krakowa. Obszerne sprawozdanie dla braku miejsca podamy jutro.

Wydawca: Lucyna Szczepańska. Odpowiedzialny redaktor: Ludwik Szczepański. Z drukarni Józefa Fischera w Krakowie.

— Nie zasypiaj. życie twoje może od tego zależeć. Miej w pcgotowiu rewolwer. Ja usiądę przy łóżku, a ty na tem krześle.

Wyjąwszy z kieszeni rewolwer, położyłem go na stole.

Holmes przyniósł ze sobą długą trzcinkę i położył ją na łóżku, przygotował również pudełko zapałek i świecę.

Potem przykręcił lampę i zostaliśmy w ciemności. Nie zapomnę nigdy tego strasznego czuwania.

Wśród zupełnej ciszy, żadnym szmerem nieprzerwanej, miałem pewność, że mój towarzysz siedzi z otwartemi oczyma i w takim jak ja stanie nerwowego naprężenia.

Z ogrodu dolatywał od czasu do czasu, głos nocnego ptaka, a raz słyszeliśmy przeciągłe kwilenie, jakby kocie, co nas upewniło, że istotnie faworyt doktora spaceruje na wolności.

Zdaleka na wieży kościelnej zegar wybijał godziny i kwadranse. Boże, jakże się wlokły te kwadranse. Biła dwunasta, potem pierwsza, druga, trzecia, a myśmy wciąż czekali na coś nieokreślonego. Nagle zabłysło światełko w kierunku wentylatora, ale znikło zaraz, w chwilę później poczuliśmy zapach palącej się oliwy i rozgrzanego metalu.

W przyległym pokoju ktoś zapalił ślepą latarkę.

I znów upłynęło pół godziny.

Siedziałem, natężając słuch.

W tem jakiś szmer doszedł naszych uszów, leciutki, nieznaczny, miarowy, jakby pary dobywającej się z kociołka wrzącej wody.

W tej chwili, gdyśmy to usłyszeli, Holmes skoczył r łóżka, na którem siedział i, zapaliwszy zapałkę, prawie jednocześnie uderzył z całej siły trzciną w kierunku taśmy od dzwonka.

— Widziałeś Watsonie — szepnął — widziałeś?

Ale ja nic nie widziałem, tylko gdy Holmes pocieał zapałkę, usłyszałem gwizdnięcie; nagłe światełko po długich ciemnościach nie pozwoliło mi dostrzedz przedmiotu, w który Holmes bił tak gwałtownie, zato uderzyła mnie bladość i wyraz przestrachu na twarzy mego przyjaciela.

Patrzał jeszcze pełen grozy na tajemniczy wentylator, gdy rozległ się wśród ciszy straszny krzyk.

Trwał on coraz głośniejszy i silniejszy, a było w nim wszystko: i ból, i przestrach, i wściekłość.

Opowiadali później, że we wsi ludzie się pozrywali ze snu, krzyk ten usłyszawszy.

Dreszcz nas przejął i staliśmy, patrząc jeden na drugiego, póki ostatnie dźwięki tego strasznego głosu nie umarły.

— Co to znaczy? — wyjąkałem.

— To znaczy, że wszystko skończone — odparł Holmes — i może tak lepiej się stało. Bierz rewolwer pójdziemy do pokoju doktora Roylotta.

Poważny i posępny zapalił lampę i wiódł mnie przez korytarz.

Dwa razy stukaliśmy do drzwi, ale napróżno. Wtedy weszliśmy, Holmes naprzód ze światłem, ja za nim z rewolwerem.

Dziwny ujrzeliśmy widok.

Na stole stała latarka, rzucająca pełne światło na otwartą skrzynię ogniotrwałą.

Między stołem a skrzynią na krześle siedział doktór Roylott w długim szlafroku, na kolanach leżał bicz, którysmy w dzień już widzieli.

Brodę trzymał cokolwiek podniesioną, a oczy jego, szeroko rozwarte, patrzyły strasznie, nieruchomo w jakiś punkt na suficie. Naokoło czoła i głowy miał wstęgę żółtą w ciemne prążki i przepaska ta zdawała się ściskać go mocno. Nie poruszył się, gdyśmy weszli.

— Wstęga, wilgotna wstęga — szepnął Holmes.

Nagle ten zwój począł się poruszać i wyjrzała ku nam główka złośliwego węża.

— To żmija w bagnach żyjąca! — zawołał Holmes. — Najjadowitszy wąż indyjski. Doktór umarł w dziesięć minut po ukąszeniu. Gwałt mści się zaprawdę na tym, który go używa, a zbrodniarz wpada w sidła na innych zastawione. Zamknijmy to stworzenie napowrót do skrzyni, a sami chodźmy zająć się przewiezieniem panny Stoner w bezpieczniejsze miejsce.

Potem dopiero zawiadomimy policyę miejscową o tem, co się stało.

Mówiąc to, ujął zręcznie bicz, spoczywający na kolanach trupa, i założywszy węzeł na szyję węża, przeniósł go ostrożnie do skrzyni i szybko zamknął w tem schronieniu.

Taka jest prawdziwa historya o śmierci doktora Grimesby Roylotta ze Stocke-Moran. Nie potrzebuję przeciągać i tak już długiego opowiadania drobiazgowymi szczegółami.

Rankiem odwieźliśmy miss Stoner do ciotki a w Stocke-Moran rozpoczęło się powolne śledztwo, które wykazało w końcu, że doktór zmarł nagle, bawiąc się z jednym ze swych niebezpiecznych faworytów.

To, czego jeszcze nie zrozumiałem, dopowiedział mi Sherlock Holmes, gdyśmy jechali z powrotem do domu.

— Zrazu błędnie rzecz sobie przedstawiłem — mówił on — i to, co ta biedaczka bredziła o przepasce i bytności cyganów, na fałszywe wprowadziło mnie tory. Ale, gdym się na miejscu przekonał, że nikt nie mógł wejść do niej oknem, ani drzwiami, wtedy zwróciłem baczniejszą uwagę na przedmioty w pokoju będące. Odkrycie, że taśma nie miała dzwonka, a łóżko było przytwierdzone, dało mi do myślenia, że taśma ta była drogą dla czegoś, co przez wentylator przechodziło. Wąż odrazu przyszedł mi na myśl, zwłaszcza że doktór sprowadzał z Indyi dzikie zwierzęta. To była trucizna, która zabija odrazu a nieznacznie. Mądry byłby sędzia, któryby znalazł dwa maleńkie punkciki od ukąszenia. Gwizdnięcie miało swoją racyę, doktór musiał odwołać węża zanim ranek nadszedł, i uczył go wracać na gwizdnięcie z pomocą miseczki z mlekiem. On sam wsuwał węża do wentylatora o stosownej godzinie i w tym celu stawał na krześle pod ścianą.

Ofiara mogła i tydzień i dłużej ujść swego losu, ale kiedyś musiała być ukąszoną.

Do wszystkich tych wniosków doszedłem zanim jeszcze zwiedziłem pokój doktora, a teraz dodam je-

szcze dla twego ojaśnienia, że gdym żmiję kilkakrotnie uderzył trzciną, zbudziły się w niej złośliwe instykty i zwróciła się ku pierwszej osobie jaką napotkała. Tym sposobem jestem poniekąd odpowiedzialnym za śmierć doktora Grimesby Roylotta, ale nie mogę powiedzieć, aby zbytecznie wina ta ciężyła mi na mem sumieniu.

Conan Doyle.

Przygody bohatera pustyni.

Było to nazajutrz po dniu, w którym Buffalo Bill ze swymi cowboyami i Indyanami przybył do Londynu. Ogłoszono przedstawienie nadzwyczajne i właśnie cała trupa przygotowywała się do odtworzenia słynnego napadu na dyliżans w Deadword, gdy adjutant księcia Walii obecnego króla Edwarka VII, przyszedł zawiadomić pułkownika Cody, że jego wysokość pragnie zająć osobiście miejsce w dyliżansie, aby lepiej obserwować przebieg walki.

Zbyteczne byłoby mówić, że propozycyę przyjęto z zapałem. Dyliżans, prowadzony przez pułkownika Cody we własnej osobie, zajechał przed lożę dworską i przyszły król Anglii, który obiecywał sobie wielką przyjemność z tej zabawy, wsiadł na kozioł obok króla myśliwych na bawoły.

Ale cóżby znaczył dyliżans bez podróżnych? Ośmieleni przykładem księcia, który, jak dawni cesarze rzymscy, nie wahał się ukazać na arenie cyrkowej, cztery osoby opuściły lożę i wsiadły ze śmiechem do dyliżansu. Byli to: król duński, książę saski, król grecki i austryacki następca tronu.

Dyliżans ruszył śród grzmotu oklasków widzów, lecz zgłuszył go zaraz zgiełk napadających bandytów, wycie Indyan, huk strzałów. Siouxowie i cowboye otrzymali polecenie, by nie oszczędzali ani gardeł, ani prochu, więc też czuli się w obowiązku podwojenia zwykłego hałasu...

Wiele lat upłynęło od owego dnia pamiętnego. Dziś William Cody, syn skromnego farmera z Jawy i Kanzasu, znany jest dziesiątkom tysięcy ludzi, którzy przyjmowali go wszędzie z nadzwyczajnym zapałem.

Odważny malec.

W roku 1853, mały William Cody, zwany w skróceniu Bill Cody, liczył siedm lat życia. Pewnego dnia znajdował się sam w fermie rodziców. Jakiś Indyanin dostał się za ogrodzenie i, spostrzegłszy konia, przywiązanego do pala, uważał za swój obowiązek przywłaszczyć go sobie. Spostrzegł to Bill i zaprotestował. To jego własnego konia chcą ukraść! Indyanin roześmiał się. Co mógł mu zrobić ten malec, nie mający więcej, jak cztery stopy wysokości? Ale malec miał krew gorącą i odwagę człowieka dorosłego. Skoczył po swą strzelbę, zmierzył do czerwonoskórego i kazał mu umykać czemprędzej. Indyanin przestraszony, pamiętając, że jest bezbronny, pośpiesznie usłuchał rozkazu.

Wkrótce potem cała rodzina Billa była zgromadzona w salonie fermy, gdy nagle usłyszano wściekłe wycie, szczekanie, odgłosy walki, okrzyki bólu. Przekonano się natychmiast, że to pantera dostała się do ogrodzenia, gdzie zaatakował ją Turek, ogromny pies, przyjaciel

osobisty Billa. Walka była straszna. Dwoje zwierząt zwinęło się w jeden kłąb i nikt nie śmiał się wtrącić. Lecz Bill, widząc, że ulubiony pies jego już słabnie, bez wahania schwycił karabin i upatrzywszy chwilę odpowiednią, wpakował kulę w łeb pantery. Drapieżne zwierzę padło trupem na miejscu.

Dziecko tak dzielne nie mogło zostać zwyczajnym człowiekiem. Wkrótce zresztą malec znalazł sposobność do wyrobienia się. Mając lat jedenaście stracił ojca, który umarł, zostawiając fermę bardzo obdłużoną. Rodzina pozostała bez środków do życia. Mały Bill postanowił je zdobyć.

Było to w r. 1857. Od wielu już lat pewien dom amerykański pod firmą „Russel, Majors i Waddell" zorganizował przewóz towarów z Missouri, stanu sąsiedniego z Kanzasem, w którym znajdowała się ferma rodziny Coddych, do Sacramento w Kalifornii. Dwie te miejscowości dzieliła przestrzeń przeszło 3.000 kilometrów, które wagony, zaprzężone w woły, przebywały w ciągu miesięcy, przez olbrzymie płaszczyzny Kanzasu, skaliste góry Colorado i Utah i stoki Nevady. Karawanom towarzyszyli ludzie pół-wolarze, pół-żołnierze, którzy nie zawsze wywiązać się mogli dobrze ze swych obowiązków strzeżenia towarów. Indyanie i rozbójnicy, zwani *desperados* lub *outlaws*, czatowali na przejście karawan i często je grabili, wymordowawszy przedtem obrońców.

Bill Cody zgłosił się do towarzystwa, ofiarując swe usługi. Przyjęto go drwinami. Gdy jednak powrócił znów i uporczywie nalegał, zaangażowano go do służby.